

Jurydyczny egalitaryzm a prawnopolityczny realizm

Nasze czasy przepełnione są, przynajmniej na obszarze tzw. Cywilizacji Północno-atlantycznej, paradygmatem ogłoszonej podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej (względnie Antyfrancuskiej według upartych zwolenników Starego Ładu) „wiekopomnej zasady równości wobec prawa”, wyrażającej „jedno z wielkich osiągnięć postępowej ludzkości”, która „zwycięsko przebyła trudną drogę od dzikości i barbarzyństwa do Wieku Świata!”, owocującego domniemanie wiekopomnymi następstwami. Zaistniałe w XX stuleciu dwie wielkie wojny wraz z rozlicznymi towarzyszącymi im katastrofami w postaci eksplozji nienawiści, głodu, zwycięskiej ekspansji skrajnych ideologii oraz ogólnego obniżenia poziomu publicznego dyskursu, tudzież pojawienia się lub eskalacji najrozmaitszych innych szkodliwych zjawisk, skłaniają do krytycznego namysłu nad słusznością rewolucyjnych zawołań – tym niemniej wciąż cieszą się one niezgorszą popularnością, w związku z czym nie można ich lekceważyć.

Dogmat jurydycznej egalitarności w oczywisty sposób jest pochodną drugiego członu sławetnego zawołania *Liberté, Égalité, Fraternité*. Koniec zinstytucjonalizowanego feudalizmu miał skutkować powstaniem Nowożytnego Społeczeństwa Obywatelskiego, w którym wszyscy byliby wolnymi i równymi braćmi. Owa wizja była wyrazistą alternatywą względem prawnopolitycznego paradygmatu Starego Porządku, charakteryzującego się istnieniem sztywnych granic między poszczególnymi segmentami społeczeństwa. Sens ich istnienia był nierozdzielnie związany z podtrzymywaniem „ohydnej segregacji”, będącej czymś oczywistym wówczas, gdy *Ancien Régime* był traktowany, jak to zazwyczaj bywa, jako bezalternatywna oczywistość. Zdecydowana większość ludności dostrzegała w niej jedyną możliwą postać ekonomiczno-społeczno-politycznego Ładu, utrwalonego przez wiekową Tradycję, z czego wyciągano wniosek, że się sprawdził, *ergo* powinien trwać *per omnia saecula saeculorum*¹. Jednakowoż stara mądrość głosi, że *praeferit*

¹ Dziś wiemy, że były to pobożne życzenia, co bynajmniej nie przeszkadza sporej części z nas tak samo postrzegać aktualny ustrój, będący – według autora szeroko nagłaśnianej i w rezultacie niezwykle poczytnej po upadku Muru książki – tym, który nie doczeka się żadnego następcy, ponieważ nie będzie on

figura huius mundi, z czego można wyciągnąć wniosek, iż prędzej czy później dojdzie do perturbacji, skutkujących zastąpieniem istniejącego dotychczas sposobu zorganizowania wspólnego bytowania przez odmienny względem niego system.

Zanim wszakże nadszedł jego czas, przez długie tysiąclecia dziejów rodzaju ludzkiego z faktu ewidentnych dla każdego różnic, zarówno między pojedynczymi mężczyznami i kobietami, jak i pomiędzy złożonymi z nich grupami, wyciągano trudny do zanegowania wniosek odnośnie do naturalnego zróżnicowania wewnątrz ludzkości, jak najbardziej zresztą pożądanego ze względu na powstające napięcia oraz, z drugiej strony, na synergię, będące motorami dokonującego się w dialektycznym procesie przewycięzania przeciwieństw doskonalenia, niezwykle trudno osiągalnego w ujednoliconym społeczeństwie, składającym się z niezwykle podobnych do siebie jednostek². Aby zapobiec regresowi do stanu domniemanego początkowego prawnopolitycznego ujednolichenia, kształtująca się u zarania zorganizowanej historii ludzkości władza pilnie tworzyła przepisy, mające utrwaląć niejednakowy status jurydyczny w obrębie zamieszkującej wczesną państwowość ludności.

Wyróżniającą się w niej figurą jest postać panującego, traktowanego niejednokrotnie jako osoba będąca bogiem lub mająca teistyczne parantele. Zgodnie z założycielskim mitem jego przodek „pojawił się z niebios lub innego daleka” po to, by podarować chętnie poddającym się mu tubylcom cywilizację, dzięki której wydostali się ze stanu dzikości i stworzyli pod egidą Świetlistego Władcy monarchię, jawiącą się jako bezalternatywny ustrój polityczny. W archaicznej wersji koronowanej monokracji jest czymś oczywistym, że państwo należy do władcy, w związku z czym wszyscy poddani żyją światłem odbitym od Głowy Państwowości. Jej szczególna pozycja jest akcentowana poprzez zasiadanie na wyniesionym ponad maluczkich tronie, noszenie w lektyce, nieustanne składanie mu hołdów oraz drobiazgowo przestrzeganie rozbudowywanej nieustannie etykiety, podkreślającej podporządkowanie wszystkich dworzan Najwyższemu

potrzebny w sytuacji ostatecznego dopełnienia się dziejów. Zob. F. Fukuyama, *Koniec historii i ostatni człowiek*, Poznań 2000, *passim*. Wiele wskazuje wszakże na to, że nie udało się „zajeżdżać kobyły historii” (клячу истории загоним – nawoływał wielki poeta Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej), z czego wynika, że dalej w sporej mierze trzeba będzie „жить законом, данным Адамом и Евой”. W.W. Majakowski, *Lewyj marsz (matrosom)*, <https://ilibrary.ru/text/1235/p.1/index.html> [dostęp: 20.11.2021]. Po ustanowieniu Władzy Rad jej liczni entuzjaści byli przekonani, że „Świat zakręcił się wokół wyzwolonego z klasowego ucisku Pitra” i nigdy już nie będzie tak, jak przedtem, a Nowe Czasy nie będą mieć swego kresu. Po latach okazało się, że były to jedynie (nie)pobożne życzenia, „zmielone przez bezlitosny walec Historii”, beznamiętnie umieszczającej kolejne paraeschatologiczne rojenia we wchłaniającym *sine ira et studio* wszelkie fantasmagorie Lumenie.

² Zbliżoną do takiego stanu rzeczy sytuację odnajdziemy we wspólnocie pierwotnej, gdzie nie ma warunków pozwalających na powstanie jakichś znaczących stratyfikacji, ponieważ obowiązuje dogmat wyłącznie kolektywnej własności, zmuszający członków grupy do współżycia bez możliwości wybicia się wskutek posiadania jakiegoś talentu. Jest on tłumiony przez „zbiorową mądrość ogółu”, nakazującą utrzymywanie rygorystycznie pojmowanej *уравниловки*, dzięki czemu ulega zakonserwowaniu rudymentalna moralno-polityczna jedność.

Ziemskiemu Autorytetowi. Pomimo otaczania go przez roje służby przebywa on na doktrynalnej płaszczyźnie w stanie *splendid isolation*, bo przecież nie może na równej stopie obcować z jakimkolwiek śmiertelnikiem, mogącym być co najwyżej skromnym doradcą Jego Wysokości, pozbawionym jurydyczno-politycznych ograniczeń, co sprawia, że ostateczna decyzja należy tylko i wyłącznie do niego i, niezależnie od jej słuszności, wszyscy podwładni mają święty obowiązek spełniać ją co do joty, gdyż reprezentują oni zupełnie inną ontologiczną jakość niż Ten, który „skupia w swych mocarnych dłoniach wszystkie ziemskie dźwignie władania”.

Poniżej niego w niegdysiejszej socjosferze na feudalnym etapie bytowania rodzaju ludzkiego ukształtowały się trzy stany, których racją bytu było, według rozpowszechnionego wówczas przekonania, spełnianie podstawowych dla prawidłowego funkcjonowania ogółu zadań. A zatem duchowny stan pierwszy troszczył się o zbawienie dusz, który to problem w przedoświeceniowej Europie był traktowany z, *nomen omen*, śmiertelną powagą, co sprawiało, że kler zajmował szczególne stanowisko, wyrażające się w odrębnym statusie prawnopolitycznym, co przekładało się zarówno na istnienie własnej izby w legislaturze, jak i wyodrębnionego sądownictwa, oceniającego na judykacyjnej płaszczyźnie postępowanie podejrzanych o popełnienie przestępstwa księży. Taki sam *modus operandi* obowiązywał wobec konstytuującego drugi stan, ze względu na realizowanie trudnej do zlekceważenia misji obrony Ojczyzny, rycerstwa/szlachty – i nie inaczej było w przypadku trzeciego stanu, zajmującego się rolnictwem, rzemiosłem oraz handlem. Znamiennego podkreślenia wymaga to, że w tamtych czasach zasada nierówności wobec prawa była na tyle oczywista, że nie dostrzegano potrzeby jej werbalizowania, jako że *clara non sunt declaranda*. Ewidentny dla każdego brak egalitaryzmu na „ziemskim łez padole” obejmował, bo niby czemu miałyby być inaczej, również wymierzanie doczesnej sprawiedliwości³.

³ Była ona traktowana jako niezbyt istotna zapowiedź Wielkiego Jurydycznego Spektaklu w postaci Sądu Ostatecznego. Przed jego obliczem wszelakie ziemskie zaszczyty mogły być raczej obciążeniem niż skłaniającą Boskich Arbitrów do przychylności okolicznością, skoro „łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu dostać się do Królestwa Niebieskiego”. *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Poznań 2003, Mt 19, 24. A zatem najpierw Pani Śmierć z doskonałą obojętnością pozbawia życia każdą istotę ludzką, po czym czyni tej ostatniej sędzą w atmosferze Doskonałej Sprawiedliwości osądzone przez stosujący jednakową miarę wobec wszystkich Nadziemski Trybunał, od którego wyroków nie ma żadnej apelacji.

Wynika z tego, że postrzegane w ludzkim oglądzie prawo znajduje swoje ukoronowanie w egzekwowanym przez jak najbardziej teistycznie nacechowany podmiot orzekający *Ius Divinum*, którego normy, znane śmiertelnikom przede wszystkim dzięki Dekalogowi, służą do tego, aby dokonać podziału na potępionych, zbawionych i czystcowych (w końcu *Бог пошлѣтъ мѡѡму*).

Gdy zdamy sobie z tego sprawę, to przestaniemy się zastanawiać, dlaczego na Wieży Matematycznej wrocławskiej *Alma Mater* umieszczono obok siebie dwie spoglądające w stronę sprostestantyzowanego w sporym stopniu miasta wyrzeźbione alegorie, przedstawiające Teologię oraz Prawo. To drugie ma służyć do tego, aby walczyć o realizację Najwyższego Teleologicznego Projektu, służącego, po wyrwaniu ich ze „straszliwych objęć tego, co biskup z Hippony nazwał *civitas terrena*”, doborowi mieszkańców *ex*

Taki stan rzeczy uległ radykalnej zmianie po upadku Starego Ładu, które to wydarzenie miało owocować zapanowaniem Powszechnej Równości. W narzucanej przez zwycięską burżuazję interpretacji nie miała się ona rozciągać na sferę ekonomiczną, gdyż wymagałoby to odejścia od dogmatu „bezwzględnego poszanowania Świętego Prawa Własności” poprzez jej uspołecznienie, co pozwoliłoby na likwidację majątkowych różnic w obrębie republikańskiej wspólnoty⁴. W takiej sytuacji skupiono się na prawnopolitycznym wymiarze egalitaryzującego trendu, nakierowanego na ujednolicenie więzi, łączącej przekształconego z poddanego na obywatela człowieka z państwowością oraz wynikających z niej skutków.

Zniesienie monarchii oraz stanowości oznaczało, że w umowny sposób całe państwo znalazło się w rękach milionów współobywateli⁵, mających w zasadniczo jednakowy sposób realizować się w życiu publicznym. W ideowo najbardziej istotnej części umasowionej polityki, to znaczy na płaszczyźnie podejmowania odnoszących się do wspólnego bytowania zbiorowych decyzji, Rewolucja, zgodnie z błyskotliwym stwierdzeniem jednego z jej animatorów, „w jedną rękę wetknęła obywatelowi kartę do głosowania, a w drugą karabin”. Wprowadzenie do społeczno-politycznej rzeczywistości zasady powszechnej elekcji staje się solidnym ideologiczno-formalnoprawnym fundamentem nowożytnej demokracji przedstawicielskiej, opartej na założeniu, czy też

definitione doskonałego *Civitas Dei*, gdzie Stwórca będzie permanentnie podziwiany przez *crème de la crème* wykreowanych na swój „obraz i podobieństwo” stworzeń. W niebiańskich warunkach zapewne nie będzie już potrzebne ani edenowe Prawo Adamowe, ani jakikolwiek inny skierowany do adamowego potomstwa przepis. Wraz z nastaniem Końca Historii zniknie potrzeba tworzenia odnoszących się do obdarczonej uwolnioną z pożądliwej ziemskiej powłoki nieśmiertelnych dusz ujurydycznych norm, mających powściągać nieczyste zamiary.

W uwolnionej od nich części zaświatów swoje supraterrstralne znaczenie zachowa augustyńskie *Lex Aeterna*, czyli „przenikający Wszechnaturę Porządek Boski”, niemający ni rozumianego w odniesieniu do czasu początku, ni temporalnego końca. W tym wypadku *Suprema Lex* albo Prawność Najwyższego Rzędu ściśle łączy się z Supremacją Teologicznością, tworząc w katolickiej ideosferze doskonałe i ostateczne podporządkowanie prawnego paradygmatu Boskiemu Wszechpanowaniu.

⁴ „Spętana drobnomieszczańskimi ograniczeniami” Wielka Rewolucja Francuska nie była w stanie przekroczyć swego ideowego horyzontu, wynikającego z dążenia najaktywniejszej części wyemancypowanego byłego trzeciego stanu do przełożenia zdobytego majątku na polityczne znaczenie. Utrata dóbr materialnych nie była zatem brana pod uwagę, bo przecież chodziło o to, aby jak najbardziej zabezpieczyć i prawnopolitycznie utwierdzić ich posiadanie. Dopiero Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa z leninowskim skrzydlatym hasłem *граб награблённое* poszła dalej, dokonując masowych wywłaszczeń, będących *conditio sine qua non* wszechogarniającej *уравниловки*.

⁵ Państwowość przestała doktrynalnie przynależać do strąconego z tronu króla, łączonego świadomie lub podświadomie w każdej odmianie monarchii z jej patrymonialnym wariantem. Wszak królestwo jest bardziej Jego niż kogokolwiek z poddanych. Gdy stali się oni po ustrojowym wstrząsie obywatelami, to przypadła im w udziale „odziedziczona po tyranie masa spadkowa” w postaci osieroconej przez koronowanego monokratę ojczyzny, która dostała się on w „objęcia zwycięskiego ludu”, który „ogarnął ją mocarnym i ciepłym uściskiem” jako „jedynie słuszny Zbiorowy Suweren”. Stał się on doktrynalnym posiadaczem upaństwowionej wspólnoty, co oznacza, że każdemu współobywatelowi przypadła w udziale równa częśćka ogólnospołecznego Dobra Wspólnego, co miało być potężną rekompensatą za pozostawienie majątkowych nierówności.

jurydycznej fikcji, jednakowego współdecydowania przez wszystkich pełnoprawnych członków uspołecznionej państwowej organizacji politycznej o wspólnych sprawach, roztrząsanych *de facto* przez legitymowanych za pomocą masowego głosowania reprezentantów ogółu, mającego być zadowolonym z tego, że, jak to ujął nieznanymi obserwatorami peerelowskich realiów, „lud pije szampana ustami swoich przedstawicieli”⁶.

Nie negując tej oczywistości, można wszakże podnieść, że podczas cyklicznego elekcyjnego „paroksyzmu przymiotnikowej demokracji” każdemu uczestnikowi tego „legitymizacyjnego obrządku dla biednych i naiwnych” przysługuje od czasu zwycięstwa „płaskiego sloganu *One Man, One Vote*” jeden głos, w czym niewątpliwie przejawia się doktrynerski, nie znoszący jakiegokolwiek sprzeciwu, totalizujący *Gleichschaltung*⁷. Jednakże owa „wspaniała i jedynie słuszna wszechdemokratyczna idea” nie została jak do tej pory w pełni urzeczywistniona w wotokratycznym wymiarze, jako że nie każdy jest obdarzony uprawnieniem przyłączenia wyrażonej na elekcyjnej karcie preferencji do ogólnonarodowej puli indywidualnych wyborczych rozstrzygnięć. Wszak wciąż jeszcze nie uporano się ze wszystkimi społeczno-prawnymi wykluczeniami, skoro cały czas mamy do czynienia z obywatelskim i z wiekowym cenzusem.

⁶ Po swoim wyrażeniu tej prawidłowości Lech Wałęsa, gdy wyszedł w Gdańsku wraz ze świtą po ogłoszeniu jego zwycięstwa w prezydenckiej elekcji pod koniec 1990 r. Oświadczył wówczas wiwatującemu na cześć Gdańskiego Sfinksa tłumowi: „Zdrowie wasze w gardła nasze”. Podkreślił w ten sposób swoje wyniesienie na najwyższe stanowisko w państwowości, dające mu dostęp do niedostępnych dla zwykłych ludzi przeróżnych dóbr, przywilejów i zaszczytów. Zresztą alienacja „żywego symbolu walczącej Polski” w ewidentny sposób przejawiała się już kilkanaście miesięcy wcześniej, gdy czekał on w ogródku przed swoją oliwką willą na przybycie goszczącego w Polsce Prezydenta USA Busha. Starzy stoczniości koledzy Wałęsy zgromadzili się za płotem w nadziei nawiązania rozmowy z Noblistą, ale on najwyraźniej nie miał ochoty zadawać się z tymi, którzy, w przeciwieństwie do niego, pozostali tam, gdzie byli. Zapewne, gdyby był przyzwyczajonym od pokoleń do władania monarchią lub arystokratą, to nie omieszkaby zamienić paru słów z ludem, ale nieobyty „z chłopów król” przypuszczalnie uważał, że popospolitowanie się obniżyłoby szczerą rangę wyniesionego ponad masy „pogromcy Komuny”.

⁷ Kładzie on każdego wyborcę na umownym Madejowym Łożu, po zejściu z którego jak za dotknięciem zbójcecko skutecznej wyrównawczej różdżki różniący się między sobą pod wieloma względami ludzie przekształcają się w formalnoprawnie jednakowe jednostki, (*Единица! – Кому она нужна?! Голод единицы тоньше пущка*, W.W. Majakowski, *Władimir Il'icz Lenin. Rossijskoj kommunističeskoj partii poswjaszczaju*, [w:] W.W. Majakowski, *Soczinienija w dwóch tomach*, t. I, Moskwa 1987, s. 167), „rzucane w beznamiętne tryby wotokratycznej maszyny”, mającej wyprodukować emfatyczną *Volonté Générale*. Jej „żałosna formalizacja” jawi się jako banalna trywializacja podniosłego russowskiego zawołania, doznającego szczególnego upadku wówczas, gdy „argusowi strażnicy nudnego rytuału” wprowadzają wyborczy przymus, mający skłonić opornych członków doktrynalno-konstytucyjnego Zbiorowego Podmiotu Suwerenności do średnio entuzjastycznej partycypacji w powtarzającym się *ad nauseam*, już dawno pozbawionym świeżości i oryginalności, spektaklu oddolnego namaszczenia zinstytucjonalizowanej elity politycznego władania, zapominającej nagminnie po zakończeniu wrzucania papierowych głosów do urn (w nich, jak wiadomo, „uroczyście oraz smętnie spoczywa spontaniczność ludowej polityczności”) i ustaleniu powyborczego nowego rozdania w parlamentarnej grze o rzucanych obficie podczas przedelekcyjnego wzmocnienia obietnicach. Wszak generalnie zawsze jest tak samo, ale trzeba zachowywać pozory choćby, a może przede wszystkim, po to, aby nie pogorszyć zbytnio naiwnych maluczkich.

Ten pierwszy został co prawda częściowo usunięty w szeroko rozumianym rodzimym wyborczym paradygmacie, ponieważ w procesie ustalania składu osobowego zarówno Europarlamentu, jak i krajowych organów samorządu terytorialnego mogą brać udział obywatele każdego członkowskiego państwa UE, ale rozwiązanie takie dyskryminuje ludzi spoza Unii. Na dodatek w rodzimej parlamentarnej, jak również prezydenckiej elekcji, partycypują wyłącznie obywatele Rzeczypospolitej, co wynika z wciąż jeszcze obowiązującej oficjalnie nad Wisłą i Odrą filozofii narodowej państwowości. Taki stan rzeczy zasadniczo nie zmieni się zapewne dopóty, dopóki ewentualnie nie powstanie wszechogarniająca Globalna Republika, w której zostałyby zrealizowane rozgłosne, przynajmniej onegdaj, hasło *keine Grenzen*, co sprawiłoby, że wszyscy Ziemianie mieliby to samo obywatelstwo, co rozwiązałoby przedstawiony problem.

Inaczej ma się sprawa z wiekowym cenzusem, gdyż wygląda na to, że nie ma jak go usunąć. Co prawda politycznoprawne dzieje ostatnich kilkunastu dekad pokazują, że występuje dość wyraźna tendencja dopuszczania coraz młodszych roczników do udziału w państwowych czy też samorządowych wyborach, wynikająca zapewne z zanikania niegdysiejszego przekonania co do nabywania mądrości wraz z upływem przeżytych lat, tym niemniej raczej nie doczekamy się tego, żeby rzeczne ograniczenie zupełnie zniknęło, jako że nie zanosì się na to, aby zasadniczej zmianie uległ typowy dla rodzaju ludzkiego długotrwały proces dojrzewania, w związku z czym naturalne zjawisko istnienia politycznie niewyrobionych dzieci najprawdopodobniej nie zniknie, a zatem w dalszym ciągu będziemy mieć do czynienia z sytuacją polegającą na tym, że dorośli będą mogli głosować, a niepełnoletni nie. Jeśli prognoza ta jest słuszna, to mamy do czynienia z nieprzekraczalną przeszkodą na drodze realizowania pantokratycznego projektu, który raczej nie jest w stanie objąć tych ludzi, którzy z powodu niedawnego narodzenia nie są w stanie w świadomy sposób uczestniczyć w wotokratycznym przedsięwzięciu⁸.

Przedstawione powyżej „dramatyczne wykluczenie” przestałoby mieć znaczenie w zakresie czynnego prawa wyborczego, gdyby zrezygnowano z arystokratycznej według Arystotelesa i Monteskiusza wotokratycznej procedury, zachęcającej do demagogicznego uwodzenia naiwnego elektoratu i generującej poważne koszty, trudne do pogodzenia

⁸ Co prawda na medialnych obrazkach z elekcyjnych lokali bardzo często możemy zobaczyć dzieci finalizujące zamiast rodziców „doniosły akt wyborczy” (*nota bene* przy odrobinie złej woli można by uznać takie zachowanie za naruszenie zasady bezpośredniości), ale nie przekłada się to na rozszerzenie wyborczego korpusu. Propozycję wyjścia z tego impasu przedstawił jakiś czas temu Jarosław Gowin, który podzielił się z opinią publiczną pomysłem przyznania rodzicom tylu dodatkowych głosów, ile mają niedorośli dzieci. Nie jest to bynajmniej zupełnie nowatorska koncepcja, bowiem takie rozwiązanie istniało już przed I Wielką Wojną w Galicji i zapewne pochodzący z Krakowa polityk słyszał o nim. Problem w tym, że grzeszyło ono przeciw nieprzpartemu w XX stuleciu pędowi do *уравниловки*, wskutek czego zabrakło dlań miejsca w „poddanej rozległej i głębokiej demokratyzacji II Rzeczypospolitej” i tak samo jest w kreowanej przez rządzącą elitę na jej następczynię III RP.

z kuszącym hasłem taniego państwa. Można by wyjść mu naprzeciw wówczas, gdybyśmy wrócili do typowej dla rudymentarne go ludowładztwa w jego staroateńskiej wersji kleromantycznej metody wyznaczania przedstawicieli zbiorowego podmiotu suwerenności. Powrót do losowania ze względu na charakter takiej odmiany wyborów uczyniłby zagadnienie egalitaryzmu w zakresie czynnego prawa wyborczego nieaktualnym, natomiast w ewidentny sposób urealniłby równościowość na płaszczyźnie biernego prawa wyborczego, ponieważ zmienne emocje elektoratu przestałyby mieć znaczenie, skoro została by mu odebrana zbiorowa kompetencja podejmowania decyzji. Przekazanie jej Sprawiedliwemu w swej Nieprzekupności Losowi niewątpliwie zwiększyłoby egalitarność systemu zbiorowego władania.

Jeśli chodzi o sferę działania trzeciej władzy, to w czasach Starego Ładu obowiązywały zróżnicowane prawa dla poszczególnych stanów i były one egzekwowane przez odrębne, z zasady niejednakowe sądy, z założenia nieobejmujące swoją jurysdykcją ogółu poddanych. W związku z tym progresywnie nastawieni filozofowie i publicyści postulowali, żeby w przyszłości, po nastaniu Nowego Porządku, było inaczej. Rzeczona odmienność miała polegać na zlikwidowaniu przywilejów i odrębności, w rezultacie czego każdy byłby sądzony przed ujednoliconym, zestandaryzowanym sądem według takich samych przepisów. Właśnie tak możemy sobie przedstawić skrajnie równościowy model sformalizowanego osądzania.

Jest on w ewidentny sposób relatywizowany skutek utrzymywania instytucji immunitetu. Owo wyłączenie od podlegania prokuratorsko-sądowym prawnokarnym procedurom przysługuje nie tylko głowom państwa oraz parlamentarzystom, ale także sędziom. Tłumaczy się, że tego rodzaju piastuni zorganizowanego władania realizują na tyle istotne dla Wspólnego Dobra zadania, że nie powinno się ich nękać poprzez adresowanie do nich być może tendencyjnych aktów oskarżenia. Konserwowanie w (post)nowoczesnej państwowości takiego rozwiązania utwierdza każdego obserwatora prawnopolitycznej sceny w przekonaniu co do tego, że jednak zawsze „są równi i równiejsi”, gdyż taka jest natura rzeczy, od której nie ma ucieczki.

Drugim niezwykle istotnym odstępstwem we współczesnym państwie, np. takim jak Polska, od w zdogmatyzowany sposób konsekwentnie rozumianej zasady jurysdykcyjnego egalitaryzmu jest istnienie zróżnicowanego w instytucjonalnym wymiarze sądownictwa. Za najbardziej wyrazisty, w ewidentny sposób przypominający niegdysiejszą stanowość, przykład braku jednolitości trzeba uznać utrzymywanie w strukturach władzy państwowej wyodrębnionych sądów wojskowych, przetrwanie których wynika ze specyfiki armijnej części społeczeństwa obywatelskiego, odznaczającej się tym, że oficjalna hierarchizacja idzie w parze z ewidentnym ograniczeniem obowiązywania

podmiotowych wolności i praw, bo przecież niejednokrotnie muszą one ustępować miejsca wynikającym ze specyfiki mundurowej służby wymogom⁹.

Inne odstępstwa od idealnego modelu niezmieszanej władzy sądowniczej polegają na powstaniu i utrzymywaniu osobnych sądów pracy, rodzinnych czy też administracyjnych w imię przekonania o konieczności specjalizacji, przeciwstawnej wobec wizji elastycznego wymiaru sprawiedliwości jednego rodzaju, obsadzonego przez na tyle wykształconych i sprawnych sędziów, że poradzą sobie oni z każdą sprawą, niezależnie od jej specyfiki. Brak wiary w takie umiejętności sprawił, że „w trudnych latach osiemdziesiątych” w naszym prawnopolitycznym pejzażu pojawił się Trybunał Konstytucyjny, choć przecież można by, jak w USA, kompetencję osądzania zgodności prawa niższego rzędu z Konstytucją przyznać Sądowi Najwyższemu.

Jednakowoż największe odstępstwo od wizji konsekwentnie ujednoliconego w imię „demorepublikańsko niezbywalnej Równości” systemu zinstytucjonalizowanego osądzania odnajdziemy w fakcie ponownego umieszczenia w naszym ustroju politycznym instytucji Trybunału Stanu. Organ ten był począwszy od wejścia w życie Konstytucji Marcowej częścią międzywojennego porządku ustrojowego, dodając mu przez samo swoje istnienie „elitarnego sznytu”, który *nota bene* narastał wraz z dojrzewaniem II Rzeczypospolitej, co znalazło ewidentny wyraz w zdecydowanie bardziej republikańskiej niż demokratycznej Konstytucji Kwietniowej¹⁰.

Została ona zniesiona wraz z nadejściem, czy też nastaniem w 1944 r., nowej ekonomiczno-społecznej formacji w postaci socjalizmu, która została skonstytucjonalizowana w 1952 r.¹¹, kiedy to w nowej Ustawie Zasadniczej zabrakło miejsca dla Trybunału

⁹ Nie zaszkodzi przypomnieć, że przed ostatnią Wielką Wojną zarówno wojskowi, jak i policjanci byli pozbawieni praw wyborczych w imię depolityzacji obrońców Ojczyzny i stróżów Porządku. Władza ludowa w ramach antydyskryminacyjnej sanacji niegdysiejszych stosunków odeszła od tego wykluczenia i taki stan rzeczy, pomimo dokonanej na rozmaitych odcinkach „dekomunizacji”, nie uległ zmianie do dzisiaj i nie zanosi się, aby coś w tej sferze uległo zmianie, gdyż ewentualne przywrócenie niegdysiejszego rozwiązania skutkowałoby utratą wieloletnich już praw nabytych.

¹⁰ Wyrażała ona występującą wówczas w wielu europejskich krajach autorytarną tendencję, której zwolennicy stali na statokratycznych pozycjach, uważając, że Państwo jako takie jest nadrzędną wartością, *ergo* powinno się je wzmacniać poprzez odsuwanie niewyrobionych ludowych mas od procesu decyzyjnego. Pierwsze skrzypce zamierzano w nim powierzyć dobranym merytokratom, tworzącym wyodrębnioną, również jurydycznie, część społeczeństwa. Mniej więcej taką koncepcję lansował w Polsce Walery Sławek, marzący o stworzeniu Legionu Zasłużonych. Owa nowa arystokracja z założenia nie powinna odpowiadać za swoje poczynania przed przeznaczonymi dla zwykłych obywateli powszechnymi sądami, z czego wynikałoby, że Trybunał Stanu w sam raz nadawałby się do tego, aby stać się odpowiednią dla wyniesionych ponad plebs „państwowców pierwszej rangi” instytucją.

¹¹ *Expressis verbis* co prawda dopiero w 1976 r. ustrojodawca stwierdził, że w Polsce Ludowej pojawiła się demokracja socjalistyczna, tym niemniej „w tę stronę szło i iść musiało”, od kiedy pod koniec Drugiej Wielkiej Wojny stało się raczej jasne, że będziemy mieć do czynienia z „recydywą Królestwa Kongresowego”, które wszakże, zgodnie z Mądrością Etapu, tym razem przyjmie postać „świecącej światłem odbitym od moskiewskiego wzorca” republiki, zarządzanej według zawołania „socjalistyczne w treści, narodowe w formie”.

Stanu, nie mieszczącego się „w zegalitaryzowanej do szczętu poprzez pozbycie się obszarniczo-burżuazyjnych naleciałości skrajnie postępowej konstrukcji ustrojowej”. Zgodnie z obowiązującym w PRL-u ideowo-doktrynalnym przesłaniem w robotniczo-chłopskiej państwowości nie było miejsca na kwestionujące egalitarny dogmat rozwiązania, w związku z czym nie uznano za stosowne różnicować sądownictwa poprzez umieszczanie w obrębie trzeciej władzy przeznaczonej wyłącznie dla wybranych instytucji.

W tym miejscu warto nadmienić, że rzeczone wybraństwo w szerszym ujęciu jak najbardziej można odnieść do wszystkich zawodowych sędziów, która to grupa konsekwentnie zajmuje dominującą pozycję w rodzimej trzeciej władzy niezależnie od dokonujących się w poprzednim stuleciu ustrojowych przetasowań. Co prawda w Konstytucji Lipcowej znalazł się mający zmienić ów stan rzeczy przepis, głoszący *expressis verbis*, że „sędziowie i ławnicy są wybierani”¹², ale norma ta może być traktowana jako klasyczne *exemplum* zjawiska, określanego mianem *desuetudo* i polegającego na unieważnieniu normy prawnej wskutek jej niestosowania, co stało się w końcu logiczną przesłanką usunięcia martwej normy z Ustawy Zasadniczej.

Natomiast na początku lat osiemdziesiątych, podczas „ciemnej nocy stanu wojennego”, doczekała się ona znamiennej poprawki, skutkującej ponownym pojawieniem się po kilku dekadach nieobecności w rodzimym prawnopolitycznym porządku Trybunału Stanu. Ciekawe jest to, że w jego przypadku znalazła swe odbicie po upływie 30 lat tak dobitnie wyrażona w pierwotnej wersji Konstytucji Polski Ludowej idea wybieralności sędziowskich kadr. Co prawda nie zdecydowano się na powierzenie teoretycznemu Zbiorowemu Podmiotowi Suwerenności zaszczytne zadania bezpośredniego określania personalnego kształtu TS, tym niemniej Naród uzyskał pewien wpływ na skład osobowy tego organu, skoro rzeczoną kompetencję przyznano jego zinstytucjonalizowanej emanacji w postaci Sejmu, co jawi się jako prorównościowy zabieg. Wrażenie to ulegnie dodatkowo pewnemu wzmocnieniu, jeśli uświadomimy sobie, że ośmiu spośród szesnastu szeregowych członków Trybunału nie musi mieć sformalizowanych sędziowskich kwalifikacji, z czego wynika, że teoretycznie każdy obywatel może współkonstituować grono trybunalskich autorytetów.

Tyle tylko, że po skonstatowaniu tego rodzaju proegalitarnego manewru doktrynalnie ludowo zabarwionego ustrojodawcy nie można nie spostrzec, że przeniesiona

¹² Art. 52 ust. 1 Konstytucji z 22 lipca 1952 r., [w:] J. Boć (red.), *Konstytucje Rzeczypospolitej*, Wrocław 2001, s. 108. Gdyby zapowiedziana elekcyjność przybrała powszechny charakter, mielibyśmy do czynienia zapewne z rozszerzeniem dostępu do władzy sądowniczej, która prawdopodobnie stałaby się luźniejszą korporacją, charakteryzującą się większymi kadrowymi przetasowaniami. Wypada stwierdzić, że taka sytuacja w większej mierze odpowiadałaby egalitarystycznemu wyzwaniu niż obowiązujący zarówno przed Okrągłym Stołem, jak i po tym wydarzeniu model, odznaczający się utrudnianiem dostępu do „ekskluzywnej kasty”, której eksponenci pilnie zważają na to, aby nikt według nich niepowołany nie przedarł się na judykacyjne salony.

z II Rzeczypospolitej filozofia „mniejszego brata” Trybunału Konstytucyjnego w ewidentny sposób zaprzecza antyfeudalnej idei jednakowego osądzania wszystkich. Jej obecność w konstytucyjno-politycznej rzeczywistości polskiej państwowości doznała zatem istotnego uszczerbku wskutek instytucjonalnego zróżnicowania trzeciej spośród naszych władz. Jej rozbudowa poprzez reaktywację Trybunału Stanu oznaczała przyznanie się do tego, że obowiązujące w dotychczasowych dziejach PRL-u założenie prawnokarnego pociągania do odpowiedzialności każdego spośród obywateli przez tożsamościowo taki sam, nieodznaczający się niczym szczególnym na tle innych judykacyjnych podmiotów sąd, nie sprawdziło się. Wszak jedną z istotniejszych przesłanek powstania i dynamicznego rozwoju wielomilionowej Solidarności było ugruntowane przeświadczenie co do tego, że promineneci są bezkarni, ponieważ nie muszą się obawiać niekwestionowanego się do oficjalnej oceny ich nieprawidłowych uczynków wymiaru sprawiedliwości.

Ten ostatni, pomimo istnienia formalnoprawnej opcji, nie czuł się powołany do ustalania winy i orzekania kary w odniesieniu do ludzi z wyższych eszelonów władania ze względu na zakorzenioną w judykacyjnej tradycji wizję sądu parów. Opiera się ona na racjonalnym przekonaniu co do niewłaściwości sytuacji, polegającej na osądzaniu osoby wyżej postawionej w społeczno-politycznej hierarchii przez niższych rangą sędziów, w związku z czym powinni oni co najmniej dorównywać znaczeniem podsądnym. Nie zaszkodzi przypomnieć, że właśnie taka przesłanka uzasadnia rozpowszechnione w euroazjatyckim prawnopolitycznym krajobrazie rozwiązanie absolutnej nieodpowiedzialności wyniesionych ponad poddanych monarchów¹³. Co prawda w zdemokratyzowanej republice nie ma miejsca na tak radykalne rozwiązanie, które rzucałoby zbyt jaskrawe wyzwanie równościowemu paradygmatowi, ale nie oznacza to, że w warunkach realnego

¹³ Z tego powodu duże poruszenie wywołało skazanie Marii Stuart przez angielski trybunał na śmierć. Jego członkowie spełniali wolę Elżbiety I, która wszakże nie znalazła się w sędziowskim składzie, co skutkowało tym, że tymi, którzy nakazali pozbawić nieszczęsną królową życia, byli ludzie znajdujący się na pośledniejszym szczeblu feudalnej hierarchii. Podobnie było w przypadku Karola I Stuarta, z tym że podmiot rozważający w sądowej konwencji jego poczynania składał się z parlamentarzystów, uzyskujących legitymizację swych poczynañ nie wskutek monarszej nominacji, lecz z Woli Ludu, którego awangardą była rzucająca wyzwanie „nieznośnej tyranii” Armia Nowego Wzoru. Dowodzący nią Cromwell po militarnym pokonaniu koronowanego monokraty pragnął przypieczętować zwycięstwo precedensowym procesem, mającym *urbi et orbi* pokazać, że każdy może stanąć przed obliczem Temidy, a następnie znaleźć się na szafocie. Co prawda Karol ze wzgardą odrzucał procesowe poczynania parlamentarzystów, uznając je za *crimen laesae maiestatis*, ale po przegranej wojnie domowej był pozbawiony władczych narzędzi, wskutek czego zbuntowani poddani przeforsowali swój zamiar uśmiercenia Pomazańca. Po upływie kilkunastu dekad albioński scenariusz został odtworzony we Francji, gdzie doszło do dekapitacji Ludwika XVI Burbona, również wskutek wydanego przez członków rewolucyjnej legislatury wyroku.

Owe znamienne i wstrząsające wydarzenia nie doczekały się naśladowania, ponieważ porewolucyjni monarchowie zostali zasadniczo pozbawieni realnych prerogatyw zgodnie z dyrektywą *rex regnat, sed non gubernat*. Ponieważ nie podejmują samodzielnie decyzji, nie mają okazji do naruszania politycznoprawnego porządku, co jest niezwykle istotną przesłanką tolerowania przez klasę polityczną instytucji bezwzględnej nieodpowiedzialności królewskiej głowy państwa.

socjalizmu czymś nagminnym były wytaczane politykom najwyższego szczebla procesy. Wszak skoro Najwyższy Prawodawca w 1976 r. uroczyście dokonał konstytucjonalizacji kierowniczej roli Partii, nadając jej w ten sposób na formalnoprawnej płaszczyźnie szczególną rangę, wywyższając ją ponad inne podmioty, to trudno było się spodziewać, żeby zwykli sędziowie, nie zajmujący szczególnie widocznych stanowisk we wszechogarniającej nomenklaturze, ochoczo zajmowali się wymierzaniem sprawiedliwości bardziej znaczącym partyjno-państwowym działaczom nawet wówczas, gdy ci ostatni popadli w niełaskę, co nie oznaczało przecież zupełnego pozbawienia ich wpływów.

Dlatego też po wprowadzeniu stanu wojennego zdecydowano się na populistycznie nacechowane posunięcie, mające pokazać społeczeństwu, że „nie będzie powrotu do tego, co było przed Sierpniem”. Aby pokazać proegalitarną determinację rządzącej ekipy dokonano internowania Edwarda Gierka i jego współpracowników, co zresztą mogło być potraktowane przez opinię publiczną jako nawiązanie do praktyk z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy to pozbawiono wolności Władysława Gomułkę i innych czołowych zwolenników polskiej drogi do socjalizmu¹⁴. Jednakże zarówno przed polskim Październikiem, jak i po nim, w tym także po wprowadzeniu stanu wojennego, nie doszło do oficjalnego ukarania niegdysiejszych decydentów, choć w tym drugim okresie rodzimych dziejów co poniektórzy mogli oczekiwać, że nie bez powodu restytuuje się Trybunał Stanu, mający się zajmować, zgodnie z zawartym w jego nazwie przesłaniem, sprawami mającymi szczególne znaczenie dla całości państwowości¹⁵ oraz wszystkich obywateli, mogących dzięki śledzeniu naznaczonych szczególnym ciężarem gatunkowym sądowych spektakli, w trakcie których dochodziłoby do zaspokajania w powszechnym wymiarze rudymen tarnej potrzeby życia w nacechowanym Sprawiedliwością społeczeństwie.

¹⁴ Był przypuszczalnie przygotowywany Wielki Proces najważniejszych propagatorów odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego, wyraziście zdemaskowanych w okazjonalnej publikacji. Zob. R. Werfel, *Trzy klęski reakcji polskiej*, Warszawa 1951, *passim*. W przeciwieństwie jednak do Czechosłowacji lub Bułgarii nad Wisłą nie doszło do spektakularnego „ścigania reakcyjnych czarownic na sądowej sali”. Z jednej strony zaspokoiłoby ono zapewne w niezłej mierze odwieczne plebejskie pragnienie nasycania się upadkiem niegdysiejszych pierwszoplanowych postaci, a z drugiej potwierdziło podejrzenie odnośnie do dyspozycyjności wymiaru sprawiedliwości, ponieważ najprawdopodobniej zapadłyby zgodne z oczekiwaniami zajmujących najwyższe stanowiska w państwie animatorów judykacyjnego spektaklu wyroki.

¹⁵ Stanowi ona synonim znajdującego się w nazwie omawianego tutaj organu stanu. W feudalnych czasach oznaczano tym mianem część ogółu mieszkańców monarchii – np. stan szlachecki. Dlatego też wyrażające ideę osobnego obradowania reprezentantów oficjalnie zróżnicowanego, także prawnie, społeczeństwa przedrewolucyjne legislatury nazywały się we Francji i Niderlandach stanami generalnymi (*États-Généraux* / *Staten-Generaal*). Później, na zasadzie *pars pro toto*, kiedy trzeci stan wchłonął w siebie pozostałe, nastąpiło językowe „ustanowienie” państwowości, w rezultacie czego pojawiła się francuskojęzyczna *raison d'État*, tłumaczona niezmiennie na polski jako racja stanu, a północnoamerykańska republikańska konfederacja zakorzeniła się w polszczyźnie w postaci Zjednoczonych Stanów. *Per analogiam* ustrojodawca posłużył się terminem Trybunał Stanu, natomiast, żeby było ciekawiej, w bardziej zbliżonej do oryginału wersji język Moliера odnajdziemy w etatyzmie.

Łączenie spełnienia tego oczekiwania z ponownie umieszczonym w naszym konstytucyjnym porządku Trybunałem okazało się być jednakowoż w dużym stopniu przesadne, skoro organ ten raptem orzekł dwa skazujące wyroki, podczas gdy zarówno „fakty prasowe”, jak i ugruntowane w opinii publicznej przekonanie wskazują na to, że nieprawidłowości na szczytach władzy było znacznie więcej. Co prawda można nie bez powodu uważać, że samo znalezienie się prominentnego człowieka z politycznych sfer w kręgu sformalizowanego zainteresowania TS skutkuje polityczną śmiercią, tym niemniej przeciętny obywatel uważa zapewne, że nie powinno być tak, iż teoretycznie ważny, bo konstytucyjny organ, jest zazwyczaj pogrążony w beczynności.

Niezależnie jednak od intensywności poczynąń owej instytucji samo jej istnienie podważa egalitarny paradygmat. Najwidoczniej w optyce decydentów nie jest on na tyle pożądanym zjawiskiem, aby próbować wcielać go w życie z pełną ideowo-doktrynalną determinacją, nie zważając na wynikające z Tradycji i, przynajmniej częściowo z nią związanego, uważanego za racjonalny, generalnego modelu sprawowania władzy, przeciwwskazania.

Uogólniając nieco inaczej niż poprzednio zagadnienie, zauważymy, że antyrównościowy potencjał zawarty jest w (post)nowoczesnej definicji ludowładztwa, zgodnie z którą ma być ono panowaniem większości z poszanowaniem praw (najrozmaitszych) mniejszości. Podnoszenie ich znaczenia coraz częściej, również w Polsce, wiąże się z uprzywilejowaniem ich poprzez przydawanie nieprzysługującym „większościowcom” uprawnień. Taka jest logika tzw. pozytywnej dyskryminacji, przejawiającej się w oficjalnym traktowaniu mniejszych liczebnie i wyróżniających się co najmniej jedną spajającą taką subspołeczność więzią, części ogółu społeczeństwa w lepszy sposób niż pozostałych obywateli. Na tym ma polegać równość materialna, przeciwstawiana klasycznej równości formalnej, traktowanej niejednokrotnie, chociażby przez nasz Trybunał Konstytucyjny, jako archaiczne już, nieprzystające w wielu sytuacjach do „gruntownie zmienionej wskutek ewidentnego postępu” społeczno-politycznej rzeczywistości. Tak właśnie wyjaśniono niezbędną zwalniającą komitety wyborcze mniejszości narodowych od spełnienia niezbędnego dla udziału w poelekcyjnym rozdziale sejmowych fo-teli wymogu przekroczenia bariery 5% ważnie oddanych głosów. Nietrudno skojarzyć ten *casus* z podziałem na „równych i równiejszych”.

Jest on niezwykle trudny do uniknięcia chociażby, czy przede wszystkim, ze względu na to, że podział na rządzonych i skuteczniających władztwo jest czymś nieuchronnym w każdym państwie¹⁶. Oznacza on, że istnieje wewnątrz najbardziej nawet

¹⁶ Nawet w stosunkowo niewielkich liczebnie w zestawieniu z większością dzisiejszych państwowości demokratycznych Atenach, gdzie regularnie ogół mających polityczne prawa mieszkańców zbierał się na ludowych zgromadzeniach, aby w atmosferze oficjalnej moralno-ideowej jedności roztrząsać wspólne sprawy, istniał biurokratyczny aparat, zapewniający funkcjonowanie uważanych za niezbędne sformalizowanych

doskonałej społeczno-politycznej wspólnoty tego szczebla trwały podział, niweczący w dużej mierze najbardziej nawet gromkie zapewnienia co do braku systemowej dyskryminacji. Współczesne polityczne organizacje najwyższej, bo państwowej rangi, nazywające się ochoczo w swoich zasadniczych ustawach ludowładczymi nomokracjami, bynajmniej nie są wolne od tej przypadłości, relatywizującej w niezłej mierze deklarowany jurydyczny egalitaryzm.

Władza bardzo niechętnie rezygnuje ze swoich przywilejów, dzięki którym nie brak chętnych do tego, aby ją kadrowo zasilać. Ci, którzy o tym marzą, wiedzą oraz czują, że w konstytucyjnych oraz subkonstytucyjnych organach i urzędach jest inaczej, bo przecież właśnie tam powinni przebywać *те, которым виднее*. Mają oni większy niż zwykli obywatele dostęp do ważnych informacji oraz znaczniejszy wpływ na podejmowanie mających walor *erga omnes* decyzji. Im dłużej ktoś przebywa na wysokim szczeblu niekoniecznie nawet sformalizowanych struktur władania, tym bardziej, przynajmniej potencjalnie, rośnie jego pozycja, co przekłada się na poszerzanie osobistej sfery wpływów, często kompatybilne ze wzrostem znaczenia „grupy trzymającej władzę”, w której partycypuje¹⁷. Niezależnie od oficjalnie wygłaszanych deklaracji we wszelkich zorganizowanych strukturach, a więc także w państwowych, obowiązuje sformułowane przez Roberta Michelsa spiżowe prawo oligarchizacji¹⁸, z czego wynika, że skutkujący nieuchronnym odchodzeniem od najsolenniejszej deklarowanej równości elitaryzm jest nieuniknionym fenomenem, różnicującym każdą polityczną wspólnotę niezależnie od przypisywanego jej w politycznoprawnych deklaracjach i dokumentach stopnia zdemokratyzowania.

struktur. Urzędów było całkiem sporo, przy czym coraz bardziej na znaczeniu wraz z dojrzewaniem i przejrzewaniem ludowładztwa zyskiwał *σπατηγός*. Z czasem doszło do tego, że pojawiło się stanowisko Wielkiego Stratega, którą Perykles, na przekór niegdysiejszej rocznej kadencyjności, sprawował przez całe 14 lat. Nie da się ukryć zatem, że tendencja do utrwalania panowania nie tylko „grupy trzymającej władzę”, ale i monokratyzującej system wybitnej jednostki jest stara jak Świat i niemożliwa do usunięcia.

¹⁷ W starożytnych demokracjach próbowano zapobiec tej prawidłowości poprzez wprowadzanie skrajnie krótkiej, czasem nawet jednodniowej, kadencyjności, co jednakowoż odbijało się na skuteczności działania pozbawionej kadrowej stabilności instytucji. Mankament ów sprawił, że w nowszych czasach ograniczono zasięg stosowania wymogu kadencyjnego sprawowania władztwa oraz w znaczny sposób przedłużono długość kadencji, dzięki czemu zajmujący ważne pozycje w „aparacie sprawowania ucisku” ludzie zyskują całkiem sporo czasu na to, aby się wygodnie urządzić.

¹⁸ Zob. R. Michels, *Zur Soziologie des Parteiwesens in der modernen Demokratie. Untersuchungen über die oligarchischen Tendenzen des Gruppenlebens*, Leipzig 1911, *passim*. Autor badał stronnictwa polityczne, ale *per analogiam* jego ustalenia można odnieść do opanowanych przez partie państwowości, ponieważ w przypadku obu tych odmian wybitnie politycznie nacechowanych podmiotów mamy do czynienia z nieustannym pozycjonowaniem się konstytuujących je ludzi. W rezultacie tego procesu niektórzy zajmują prominentne pozycje, a inni zostają umieszczeni na marginesie procesu podejmowania władczych decyzji.